

— Jakich boli?
— A wieczorem po obiedzie wyznała wreszcie wszystko Joemu!...

— Co wyznała?

— Jakto, co wyznała?... Czyś ty głuchy, mój ojciec? Czy ja gadam bez sensu, czy też ty nie chcesz umyślnie rozumieć, by ze mnie kpić?

I opierając się łokciami o stół, krzyknął gniewnym i przejmującym głosem, tak iż wszyscy goście w restauracji zwrócili na nas uwagę:

— Łucya Weill urodziła!

Tym razem już na żaden sposób nie mogłem utrzymać powagi!... Moje zdumienie przybierało niezwykłą formę... Powstrzymywałem śmiech, który dusił mi piersi, lecz wreszcie wydarł on mi się z gardła!... Pękałem od śmiechu...

Polidor, nie zważając na to, mówił dalej:

— Ach! akuszerka i doktor obawiali się o nią... drżałem o życie mej biedaczki!... Dziecko urodziło się za wcześnie...

— Czy żyje?

— Nie... na szczęście. Jeszczeby tego brakowało!... To był negr!

Wstyd już mi było śmiać się!... Zmartwienie Polidora było tak głębokie, jego przejęcie się tem tak szczere, iż sam się wreszcie wzruszyłem... Wziąłem go delikatnie za rękę i pocieszałem czule, choć niezgrabnie...

— Cóż ty zamýślasz robić, Polidorze?

— Co ja zamýślam robić? — odpowiedział bezmyślnie... Zdaje mi się, że powinienem czekać na jej zupełne wyzdrowienie!... To jest bardzo przykre... tak! Przykre dla ciebie, że trzeba odłożyć tę datę... Ona nie będzie jeszcze zdrowa do dwudziestego szóstego marca!... Ślub musi być odłożony.

I ulżywszy sobie tem naiwnem zwierzeniem, Polidor odzyskał swój zwykły humor... Zażądał dla siebie herbaty... Miał teraz poważną, pełną godności minę. Spojrzał na mnie i zapytał:

— O czem ty myślisz?

— Myślę — odpowiedziałem — że wszystkiego można się spodziewać po takim człowieku. Jak ty i takiej dziewczynie, jak Łucya Weill!... Twoja namiętność nie potrzebuje już żadnych wyjaśnień, a jej władza nad sobą nie ma już żadnych granic!... Zdaje mi się, że Joe Duncan zrobił największe głupstwo w swem życiu, układając małżeństwo ludzi tak narwanych, jak wy oboje... Zdaje mi się, że już nadszedł wielki czas, bym wycofał się z tej śmiesznej gry, do której już za długo należę. Obecnie tego tylko pragnę, by to szaleństwo miłosne jak najdłużej trwało, ponieważ w niem tylko znajdujesz swe szczęście. Ja osobiście cieszę się z tego, że mam sposobność stąd odejść! Odjazd swój do Filadelfii naznaczyłem na następny dzień po twym ślubie!... Teraz ożenisz się już bezemnie, mój chłopcze... a ponieważ data dwudziestego szóstego marca okazuje się na razie niemożliwą... przeto mówię ci, do widzenia, Polidorze!... Nie wstydzę się ciebie, lecz żał mi ciebie... Do widzenia, mój synu!

I wyszedłem z kawiarni, pozostawiając przyszłego małżonka Łucyi Weill nad filiżanką herbaty... Kazałem się zawieźć do Joego Duncana...

— Znasz już historię? — zawołał do mnie, gdy tylko wszedłem. — Prawda, doskonała, Jonatanie!... Ach, gdyby ten sławny Booker Washington, który poświęca swój mizerny umysł na rozwiązanie kwestyi murzyńskiej, znał tę historię, musiałby z pewnością po przekonaniu się o niewzruszonym zamiarze twego adoptowanego syna poślubienia Łucyi Weill, przyznać wyższość rasy białej!

Żarty Joe Duncana denerwowały mnie bardzo, przerwałem też je zaraz, oznajmiając mu, że chcę jechać do Filadelfii, nie czekając na ślub Tedda i jego rodzającej narzeczonej.

— Przynajmniej tu jesteś — rzekł mi — go-dzien być Amerykaninem!... *Bussines is bussines!* Pamiętaj o tem zawsze, Jonatanie!...

I w swych szerokich dłoniach ścisnął z wielką czułością mą dłoń...

Na odchodnem zapytał mnie jeszcze:

— Nie mógłbyś zabrać z sobą tego bydlęcia,

Dżima? Zrobisz tem wielką przyjemność wszystkim... a mnie uwolnisz od niego!

Na drugi dzień rano wyjechałem do Filadelfii... Zdawało mi się istotnie, że pozbyłem się wreszcie jakiejś duszącej zmory, która od śmierci mej nie-szczęśliwej żony nie dawała mi chwili spokoju.

XVI.

Wyznać muszę, że ten rok, który spędziłem w Filadelfii, pracując po czternaście godzin na dobę, był dla mnie jakby źródłem Lety, w którym zapomniałem o wszystkich swych nieszczęściach, był jakby ustawiczną gimnastyką umysłu, zabierającą mi cały czas, tak iż ani jednej minuty nie mogłem poświęcić na rozmyślanie i rozpamiętywanie czy to żalów, czy to wyrzutów. Przez ten rok, spędzony w fabrykach króla papierowego, stałem się prawdziwym człowiekiem-maszyną... Wydawało mi się, że zerwałem wszelką łączność z zewnętrznym światem...

Z trudem tylko listy, odbierane co miesiąc z Fran-



„Łucya wyjmowała delikatne złotem przepychane suknie i zachwycała się niemi

cy, czy to od Marcadiana, czy od Williama lub Eweliny, przypominały mi, że poza nieprzerwaną pracą są jeszcze inne dziedziny życia... Listy Marcadiana były napuszone i przepojone wdzięcznością, której źródła nie potrzebował wyjawiać, tak ono było jawne!... Listy Williama były czule, pełne przesadzonej miłości synowskiej... Ewelina pisała zwykle ku memu żalowi bardzo krótko, bez żadnych zbytecznych opisów. Listy jej dotyczyły zawsze jednego przedmiotu: co się dzieje z Z...!

Z... obywał się najzupełniej bez cudzego współ-czucia. Od ślubu swego z Łucją zwiadał główniejsze miasta Stanów Zjednoczonych. Gdy otrzymywałem od nich listy z Nowego Orleanu, czy z San Francisco, lub skądinąd, zawsze zawierały one żądania nowych sum dodatkowych, rozrzutność bowiem Łucyi nie zadawała się pensją stu tysięcy dolarów. Musiała z podobnemi odezwaniami zwracać się i do wspaniałomyślności Joego Duncana, który jednak miał uszy zamknięte na tego rodzaju wezwania... Za każdą wizytą milionera w Filadelfii, znajdowałem go coraz bardziej zaszępionego i coraz gwałtowniejszego...

Pod koniec już jesieni, gdyśmy mieli przystąpić do sporządzania całorocznego budżetu, ujrzałem po raz pierwszy, iż zaczyna zaniedbywać się w wyliczeniach, które były jego siłą i życiem.

— Zaczynam opadać na siłach, Jonatanie i cie-szę się bardzo, że mam ciebie jako pomocnika!... Jesteś godny podziwu. Dzięki twojej energii i two-jej sprawności w interesach, nasz dochód wzmagają się. Dokonałeś w Japonii czynu, który ci przynosi prawdziwy zaszczyt.

I wyliczał wszelkie dokonane przezemnie przed-sięwzięcia i dziękował mi za nie gorąco... Potem zmienił nagle temat:

— Lecz to jeszcze nie wszystko, co mnie inter-esuje... Najbardziej mnie przejmuje i drażni to, iż zdaje mi się, że po raz pierwszy w życiu chybiłem i oszukałem się, jak jaki głupiec!

— W czem?

— W sprawie z mym synem, z Willamem!

— Czy chcesz powiedzieć, że stało się to z po-wodu Łucyi Weill?...

Wzruszył ramionami, poprawił gniewnie monokl i przerwał mi:

— Łucya Weill jest tylko narzędziem o bardzo względnej wartości... Od chwili gdy małżeństwo jej nie wpłynęło niczem na usposobienie mego syna... stała się dla mnie instrumentem bez żadnej wartości... William wie już teraz, że Łucya żyje, że stała się żoną tego Z..., tego nędznego idyoty, którego ty wyrwałeś z jego wary-ckiej klatki... Wie on również o tem, iż tej tak dobranej parze zapisaliśmy kapitał, równy temu, do jakiego on będzie miał prawo... William wie o tem wszystkim już od miesiąca, gdyż kazałem go o tem powiadomić... a nie daje o sobie żadnego znaku życia... Nie występuje ani przeciw tobie, ani przeciw mnie, ani przeciw Z...! To jest nie-po-jęte!

Każdej sylabie tego słowa towa-rzyszyło potężne uderzenie kulakiem w stół. On, Joe Duncan, król pa-pierowy, dumny milioner, podobny był w tej chwili do starca bez e-nergii, przygniecione go przeciwno-ściami losu... Nigdy go jeszcze nie widziałem w takim stanie bezsilności moralnej i fizycznej.

Zaczął znowu, jak gdyby rozma-wiał sam z sobą.

— Naprawdę zrobiłem te wszyst-kie poświęcenia. Po raz pierwszy w życiu tak starannie rozważyłem wszy-stkie strony tej sprawy i po raz pierwszy popełniłem tak grubą błąd!... Nie, to niemożliwe!

I znowu stół jęknął pod jego u-derzeniem, lecz teraz Joe Duncan o-władnął już sobą... Oczom moim przed-stawiła się znowu potężna jego, ol-brzymia postać człowieka, zdolnego wolać swą żelazną zaciężność nad każdym. Chodził po mym gabinecie i gniewnym głosem powtarzał:

— To niemożliwe!... nie przyzna-jesz Jonatanie, że to jest niemożliwe?...

Mogłem mu odpowiedzieć wów-czas:

— Uspokój się!... Twoje wyra-chowania na nieszczęście nie omyliły cię! Oto otrzymałem przed dwoma

tygodniami list od Williama, wskutek którego całą noc spędziłem bezsennością, płacząc... Był to list pełen gwałtownych wyrzutów po listach tak czułych; oskarżał mnie o oszustwo, że go zwiódł, mówiąc mu o śmierci Łucyi Weill... Jeżeli umiesz czytać między wierszami, dość ci będzie przerzucić oczyma ten list, by przekonać się, że twe przewidy-wania mogą spełnić się w przyszłości i że obraz Łucyi Weill nie został wydarty z serca Williama. Będąc jeszcze bardziej zawiedziony w swych nadzie-jach niż Joe, mogłem dodać mu więcej:

— Uspokój się przewidujący człowieku!... Przy-szłość może przewyższyć twoje najmiłsze oczekiwania!... Oddasz Williamowi, synowi Nelly Burlington, to wszystko, coś sam wycierpiał od swej cudzołożnej małżonki... A ja prawdopodobnie będę w twych strasznych rękach tylko narzędziem bez wartości, jak i córka ma Ewelina, jak Łucya Weill i jak Z!... Przed tygodniem otrzymałem list od Marcadiana, z powodu którego płakałem przez dwie bezsenne noce!... Był to list zrozpaczony i smutny, w któ-rym zawiadamiał mnie o opłakanym losie mej córki Eweliny, od której mąż oddala się z dniem każdym co raz bardziej!... Dość ci rzucić o'iem na ten list, byś przekonał się, że twój tryumf jest bliższy, niż sam się tego spodziewasz.

(Ciąg dalszy nastąpi.)